

Demokracja stanu wyjątkowego

Rozmowa Joanny B. Bednarek z Przemysławem Czaplińskim

Mamy dziś rozmawiać o kryzysie państwa prawa i literaturze – a tymczasem mam wrażenie, że bez dyktafonu leżącego na stole prowadzimy tę dyskusję już co najmniej od półtora roku... Zafiksowaliśmy się? Czy coś jest na rzeczy? Przyrost fabuł skoncentrowanych na niestabilności państwa, jego kryzysie wewnętrznym wydaje się symptomatyczny. Czy możemy mówić – mimo wszelkich różnic gatunkowych, estetycznych, ale także jakościowych – o jakiejś linii? Nurt będzie tu słowem chybnym, bo za dużym i zarazem zbyt obciążonym historycznoliteracko.

Moglibyśmy się zgodzić, że mamy do czynienia z konstelacją. Wielość tekstów literackich, które ten temat podejmują, i zmieniająca się umiejętność interpretacji po stronie czytelników powodują, że możemy takie konstelacje wyodrębnić.

Gdybym miał patrzeć na to od strony historycznoliterackiej, ale też historyczno-kulturowej, powiedziałbym, że to faza rozwoju świadomości społecznej. Synteza, którą zaimprovizuję, odsłoni szerszy kontekst, ale będzie oczywiście uproszczeniem. Pierwsza faza – schyłek lat 80. i początek lat 90. – była skoncentrowana na kwestiach tożsamości. Wydawało się wtedy, że jeśli każdemu przysługiwać będzie wolność określania własnej tożsamości, a prawo będzie chroniło owej wolności, to pojawią się odpowiednie relacje społeczne i powstanie dobre społeczeństwo. Pod tym względem symptomatyczne wydaje mi się zakończenie debiutanckiej powieści Olgi Tokarczuk *Podróż ludzi Księgi*: grupka osób przedziera się przez XVII-wieczną Francję, niejako pod prąd historii, w poszukiwaniu tytułowej księgi, która jest alternatywną biblią, mającą udzielić odpowiedzi na fundamentalne pytania. Prawie wszyscy giną, do samej księgi dociera tylko służący, Gauche, uważany za niemeo. Gauche jest niepiśmienny, więc nie może księgę przeczytać. Rzeczywistym zyskiem z wyprawy okazuje się jedno proste zdanie, które bohater wypowiada na końcu: „Jestem Gauche”. Tę scenę zestawilibym z kolejną powieścią Tokarczuk, *E.E.* – w której głównej bohaterce nie dano możliwości

wypowiedzenia swojego imienia. Mam wrażenie, że to pokazuje (w pewnym sensie dobrą) fiksjację socjologiczną i filozoficzną pierwszego okresu. Koncentrowaliśmy się wówczas na tożsamości jednostkowej, ponieważ uważaliśmy, że będzie ona fundamentem nowego społeczeństwa. Umownym początkiem tego okresu byłyby powieści z połowy lat 80. – *Sublokatorka* Hanny Krall i *Weiser Dawidek* Pawła Huellego – które mówiły o nowoczesności polskiej jako systemie zagrażającym inności. Z kolei *Absolutną amnezję* Izabeli Filipiak i *Hanemanna* Stefana Chwina, obie z 1995 roku, moglibyśmy uznać za umowne zwieńczenie tego okresu – dwie powieści o znikanii Innego, któremu nie pozwolono zachować własnej tożsamości.

W tym samym roku Andrzej Stasiuk opublikował *Opowieści galicyjskie* i *Białego kruka* – i to był chyba sygnał zmiany. Wzmocniły ów sygnał książki Sławomira Shutego, Mariusza Sieniewicza, Sylwii Chutnik. Także pierwsze reportaże o kłopotach Polski B – Ireny Morawskiej, Mariusza Szczygła, Włodzimierza Nowaka, Lidii Ostalowskiej. Poprzez ich dzieła literatura uświadomiła nam, że nie da się wymyślić i opowiedzieć społeczeństwa, odnosząc się do tożsamości jednostki. Coraz wyraźniejsze i coraz bardziej dramatyczne stawały się teksty, które mówiły o relacjach międzyludzkich. Pytanie o tożsamość okazywało się pytaniem o grupę, do której przynależysz; czy ma ona charakter klasowy, płciowy, etniczny, religijny, kulturowy... Czy możesz wpływać na swój kolektyw od środka? Czy możesz go opuścić? Druga faza byłaby zatem wychodzeniem z neoliberalnego przeświadczenia, które mówiło, że społeczeństwo jest sumą jednostek. W kategoriach historycznoliterackich można by powiedzieć, że w połowie lat 90. skończył się w Polsce postmodernizm. Postmodernizm opierał się bowiem na przekonaniu o równowartości wszystkich narracji – zbiorowych i jednostkowych, zanurzonych w historii wspólnej i historiach osobnych, patetycznych i śmiesznych. W tej właśnie sprawie – społeczeństwa egalitarnego powiązane go poziomymi narracjami – demonstrowała i urządziła happeningi Pomarańczowa Alternatywa

w połowie lat 80. Dekadę później, w połowie lat 90. okazało się, że istnieją narracje równe i równiejsze. Te „równiejsze”, czyli rzekomo lepsze, ważniejsze, wartościowsze, dotyczyły indywidualizmu, sukcesu, self-made mana; były zakorzenione w historii walk z komuną i dziwnie splecione z błogosławieństwem kościoła katolickiego. Te „równe”, czyli słabiej słyszalne, dotyczyły peryferii na peryferiach – problemów życia zbiorowego poza wielkimi miastami, kwestii bezrobocia, narastających rozwarstwień ekonomicznych, zamykania się klas społecznych.

Od tożsamości jednostkowych przeszliśmy do konstelacji społecznych. A potem okazało się, że obie są niewystarczające. Bo należy także zapytać o to, w jakiej rzeczywistości prawnej osadzone są tożsamość indywidualna i zbiorowa. Ta perspektywa pojawia się i umacnia w drugiej dekadzie naszego stulecia. Zaczyna się – by powrócić do Olgi Tokarczuk – od Janiny Duszejko, która w powieści *Prowadź swój plug przez kości umarłych* domaga się innego prawa. A dołączają do niej inni: główna bohaterka powieści Joanny Bator *Ciemno, prawie noc* wymierza sprawiedliwość w imię prawa, które jeszcze nie istnieje. Bohaterki *Cwaniar* Sylwii Chutnik buntują się przeciw sojuszwowi patriarchy z kapitalizmem. A Szczepan Twardoch konfiguruje w *Królu* dziwną, w rzeczywistości niezastniałą, komitywę pomiędzy rękami przestępczymi i lewicą przedwojennej Warszawy – sojusz, który przeciwstawia się naporowi faszystów, między innymi walcząc z przepisem o getcie ławkowym.

Trochę improwizuję tę syntezę w odpowiedzi na twoje pytanie – ale tak chyba można ułożyć historię poszukiwania reguł stanowienia rzeczywistości. W fazie pierwszej sądziliśmy, że o wszystkim zadecyduje wolność jednostkowa, w drugiej miejsce naczelną zajęły tożsamość zbiorowa i państwo jako instytucja pomocowa, w trzeciej rolę główne odgrywają prawo i państwo jako organizacja integrująca skonfliktowane strony.

Właściwie ta panorama przypomina ewolucję powieściowego cyklu Zygmunta Miłoszewskiego o Teodorze Szackim. W pierwszej części pisarz dowartościowywał indywidualne kwestie tożsamościowe: morderstwo wydarzało się – co przecież znaczące – w czasie sesji terapeutycznej, a w tle rozpisane zostało często obecne w polskich sporach o życiorysy uwikłanie w zbrodnie PRL-u. W drugiej, *Ziarnie prawdy*, przy okazji śledztwa wybijała kwestia antysemityzmu jako wielowiekowego procesu konsolidującego polską tożsamość zbiorową. W wińskim cyklu *Gniewie* Szacki odkrywa, wcześniej przez siebie niedostrzeżoną, ogromną lukę systemu sprawiedliwości – odkrywa, że dla domowej przemocy wobec kobiet istnieje nie tylko przyzwolenie kulturowo-społeczne, ale i prawne.

Z tym że w przypadku trylogii Miłoszewskiego, który wybrał konkretny gatunek (powieść kryminalną) i konkretnego głównego bohatera (prokuratora), komplikowanie świadomości prawa jest, jeśli nie spodziewane, to przynajmniej zrozumiałe. Dopóki prawo znaczącą rolę odgrywa w literaturze kryminalnej i sądowniczej – choćby zawarte w nich były diagnozy społeczne, jak u Grishama czy w części kryminałów skandynawskich – możemy przejść nad tym do porządku dziennego, raczej odhaczając cechę gatunkową, niż rozpoznając symptom czegoś nowego. Tymczasem poczyniliśmy na początku zastrzeżenie, że rozmawiać będziemy o konstelacji, która składa się z różnych gatunków. I powiedziales, że w jej ramach zaczynamy rozumieć, iż dotychczasowe fabuły, które pisaliśmy lub o których pisaliśmy, były „czegoś” pozbawione, a jako ów brakujący element rozpoznajemy prawo. Dlaczego właśnie ono?

Prawo jest jednym z najsilniejszych konserwantów życia zbiorowego. A zarazem dysponuje siłą stanowienia porządku. Literatura, zwracając uwagę na stabilizującą i kreacyjną rolę prawa, nadal szuka tego samego – węzła splatającego polską rzeczywistość. W tym poszukiwaniu natrafiamy na paradoks okresu inicjalnego nowej epoki. Dla demokracji III RP kamienie węgielne były zarazem kamieniami nagrobnymi. W grudniu 1989 roku parlament uzupełnił Konstytucję Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, która jeszcze w całości nie została wymieniona, przegłosowując ustawę modyfikującą art. 1 w taki sposób: „Rzeczpospolita Polska jest demokratycznym państwem prawnym, urzeczywistniającym zasady sprawiedliwości społecznej”. Nowela grudniowa wprowadzała zasady, wedle których władza zwierzchnia należeć miała do narodu. „Państwo prawa” to bowiem takie, w którym nadrzędnym dokumentem jest konstytucja, obowiązuje zasada trójpodziału władzy, występuje gwarancja niezawisłości sądownictwa, władza musi podlegać regulacjom prawnym i zostać pociągnięta do odpowiedzialności, jeśli prawo przekroczy; strzeżone są prawa i wolności obywatelskie, decyzje władzy uzależnione są od decyzji suwerena. Twierdzą, że w ciągu czterech lat cały ten system uległ skorodowaniu.

Przez konkordat i ustawę antyaborcyjną?

Również, ale nie tylko. Zadecydowały o tym cztery rzeczy. Po pierwsze, osadzenie korony na głowie orla; po drugie, podpisanie konkordatu, wprowadzenie religii do szkół, uchwalenie funkcjonowania komisji ds. zwrotu majątku kościelnego, której decyzje miały nie podlegać zaskarżeniom; po trzecie, uruchomienie ustawy reprzywatyzacyjnej; po czwarte, co stanowiło zwieńczenie owego procesu,

przegłosowanie zaostrożonej ustawy antyaborcyjnej. To ostatnie nastąpiło wbrew najpotężniejszej fali protestów społecznych – w 1993 roku zebrano ponad milion podpisów przeciwko inicjatywie sejmowej. Wszystkie te rzeczy zostały ustalone albo poza zasięgiem prawa, albo poza debatą społeczną, albo wbrew woli suwerena. Tym samym wyznaczono potężne pole znajdujące się poza demokracją: insygnia monarchiczne w godle zakrywały PRL, wypierały plebejskie pochodzenie większości, wskazywały na nacjonalizm jako jedyną tradycję wspólną; fetyszycacja własności prywatnej zapowiadała zawieszenie praw pracowniczych i ulgowy kodeks dla właścicieli kamienic i środków produkcji; konkordat zagwarantował kościołowi uprzywilejowane miejsce w walce politycznej i ekonomicznej; ustawa antyaborcyjna zwiększyła kontrolę nad ciałem kobiecym i zablokowała możliwość legalizacji związków partnerskich nawet w przypadku par hetero, więc tym bardziej dla par jedнопłciowych. Wszystko to powoduje, że po 1993 roku społeczeństwo – jako suweren wywłaszczony z poważnej części swoich demokratycznych prerogatyw – szuka swojej podmiotowości poza polem zastrzeżonym. Dlatego suwerenność spełnia się w aktach agresji przeciw homoseksualistom, Ukraińcom, muzułmanom, lesbijkom, a więc obywatelom niepełnopodmiotowym.

Czyli właściwie od początku lat 90. funkcjonujemy w demokracji w wersji demo. Jak w grze komputerowej, w której gracz może poruszać się po wyznaczonym przez producenta polu, ale nie ma dostępu do kluczowych funkcji czy kolejnych, ważniejszych poziomów.

Tak. Bo debata tocząca się w obrębie ustalonego pola nie zmieni konfiguracji podstawowych sił utrzymujących system w mocy. Nie naruszy istniejącego układu pomiędzy kapitalizmem, nacjonalizmem, kościołem i patriarchalną władzą nad ciałem kobiecym. W odniesieniu do owego pola możemy podzielić postawy polityczne na reformistyczne i rewizjonistyczne. Pierwsze akceptują granice pola i upominają się o zmiany w jego obrębie. Są to inicjatywy na rzecz na przykład wyższych lub niższych podatków, płacy minimalnej i stawki godzinowej, polityki recyklingowej. To ważne rzeczy. Podkreślam ich doniosłość, aby zapobiec wrażeniu, że inicjatywy reformistyczne są nieistotne, a debata w granicach pola – pozorna. Sądzę tylko, że z wnętrza tego obszaru nie da się ustanowić rozdziału państwa od kościoła, przywrócić praw aborcyjnych kobietom, zagwarantować sądom niezawisłości czy uspołecznic środków komunikacji. I tu wkraczają rewizjoniści, którzy pytają: czy reguły polskiej demokracji są korzystne dla społeczeństwa i państwa? Czy można zmienić układ wiążący kapitał, kościół, nacjonalizm i patriarchat?

Rewizjoniści mają oczywiście niewielki wpływ – choć szlachetne klęski, które ponoszą, są konieczne. Jeżeli coś się w tej mierze zmienia w drugiej dekadzie XXI wieku w kontekście literatury, to świadomość – skąd się prawo wywodzi, dlaczego jest, jakie jest, co decyduje o możliwości lub niemożliwości korekt.

Jakie są tego efekty? Odsłaniamy uwarunkowania, obnażamy nieskuteczność i niewystarczalność prawa – a w wyniku tego dzieje się coś więcej? Literatura postuluje lub wywołuje konsekwencje prawne?

Istotniejszy wydaje mi się podejmowany przez nią ruch rewizjonistyczny, polegający na sięganiu do podstaw zdeprawowanego systemu. Robią to na przykład reportaże Justyny Kopińskiej. Opisują instytucje funkcjonujące zgodnie z prawem poza nim. Na przykład szpital psychiatryczny, dom dziecka czy więzienie – które reportażystka nazwała instytucjami totalnymi. W ich obrębie pacjenci/więźniowie to istoty niepełnopodmiotowe: instytucja dysponuje ich ciałami i majątkami. Podobnie działają opisywane przez reportażystkę regulacje policyjne dotyczące przestępstw i śledztw; jeśli korzystniej jest prowadzić śledztwo w sprawie zabójstwa niż w sprawie gwałtu, to statystyki gwałtów będą zaniżane, a śledztwa – prowadzone bez zaangażowania. Książki Kopińskiej należą do ruchu rewizjonistycznego, w ramach którego piszący zastanawiają się nad tym, skąd wywodzi się przemoc, w jakim systemie prawnym i w jakich konkretnych przepisach jest osadzona. Podobnie książka *Święte prawo* Iwony Szpali – autorka cofa się do początku lat 90. i opowiada o prawie własności. Mówi o tym, że ustawa reprivatyzacyjna miała zwrócić części społeczeństwa majątek zabrany przez państwo ludowe. Ludzie mieli się wzbogacić i zatroszczyć o swój majątek. Skutki były straszne. Tam, gdzie reprivatyzacja likwidowała szkoły, przedszkola czy biblioteki, przekazując budynki nowym właścicielom, dewastowano sferę publiczną. Tam zaś, gdzie rewindykacja uderzała w mieszkańców, niszczone zaufanie do państwa i do prawa. Istnieje już sporo książek, które opowiadają o tym, jak państwo przestało chronić mieszkańców, więc kilkaset tysięcy osób w Polsce straciło mieszkania, a zanim straciło je ostatecznie, przeżyło gehennę w wyniku działań tak zwanych czyszcicieli kamienic. Tego typu książki uznałbym za rewizjonistyczne – nie wyjaśniają one, jak doprowadzić do lepszego funkcjonowania prawa, tylko mówią o tym, skąd się bierze zło. A wynika ono z genety, którą zarysowałem – z porządku prawno-ekonomiczno-kulturowego ustanowionego między rokiem 1989 a 1993. Porządek ten decyduje o niedostatku praw zwykłego obywatela – co widoczne jest wtedy, gdy obywatel okazuje się kobietą, lokatorem w nie

swoim mieszkaniu, pracownicą czy pracownikiem zwolnionym przez prywatnego pracodawcę, homoseksualistą czy lesbijką. Ów ruch rewizjonistyczny wydaje mi się koniecznym przygotowaniem do ewentualnego kroku dalszego, czyli opowiedzenia nowego porządku – i to jest pewnie moment, w którym znajdujemy się dziś.

Ale niektóre reportaże Kopińskiej – a pewnie moglibyśmy tę listę nieco poszerzyć, na przykład o wybrane reportaże Marcina Kąckiego – odniosły jeszcze inny skutek, bardzo konkretny: doprowadziły do wszczęcia lub wznowienia śledztwa, do rozpraw sądowych, wyroków. Nie mówiąc już o skomplikowanych prawnych konsekwencjach publikacji Grossa... Mamy zatem w okresie, o którym rozmawiamy, skromny, ale ważny zestaw tekstów, które wzywają prawo do działania – nie w tym sensie, w jakim robią to bohaterki Chutnik, Tokarczuk czy Bator; nie odsłaniają uwarunkowań, upominając się o zreformowanie niesprawiedliwego prawa, tylko domagają się sprawiedliwszego egzekwowania istniejących regulacji. To już nie jest rewizja...

...tylko interwencja, zgoda.

I kiedy mówimy o tym wycinku, na myśl przychodzi same reportaże. Dużo trudniej znaleźć literackie fikcje, które wywarłyby podobny skutek. Nie ma ich?

Za słabo znam literaturę polską, żeby zawyrokować o tej nieobecności... ale faktycznie, niełatwo będzie znaleźć takie opowieści.

Zostańmy jednak na moment przy fikcji i jej roli w owej trzeciej fazie, „fazie prawa”. Czy nie masz wrażenia, że dokonują się tu pewne przebiegi i zmiany? O ile u początku mamy powieści Tokarczuk, Bator, Twardocha, które namierzają konkretną prawną niesprawiedliwość oraz jej konsekwencje, odpryski w rzeczywistości, o tyle powieści późniejsze – te, które ukazały się w ciągu ostatnich trzech, czterech lat – diagnozują nie tyle konkretne prawo, ile kryzys państwa prawa jako takiego. Znamienne, że wszystkie one są quasi-futurystyczne, rzutują akcję w niedaleką lub bliżej nieokreśloną przyszłość. I wszystkie opowiadają o porządku, który upada – czyli już nie takim, w który należy zainterweniować, aby utrzymać go w mocy, czyniąc bardziej sprawiedliwym, ale takim, który zmierza do rozpadu.

To teksty alarmistyczne – a ten ich wymiar wynika z faktu, że mają charakter dystopijny. Nie antyutopijny, lecz dystopijny. Antyutopia wychodzi od idei, dystopia – od codzienności. I z codzienności wybiera te praktyki, instytucje bądź prawa,

które są producentami katastroficznej przyszłości. Zwykłość pomnożona przez miliony i przyspieszona daje apokalipsę. Na przykład obyczajowe dyskryminowanie mniejszości seksualnych albo powierzanie sieciom prywatnych danych, albo redukcja powiązań społecznych do wymiany finansowej. To oznacza, że aktualny porządek społeczno-polityczny jest autodestrukcyjny, że w naszej codzienności skrywają się elementy niszczące. Cała seria powieści polskich mówi o tym, że utrzymywanie społeczno-politycznego status quo jest gwarancją katastrofy: *Czarne słońce* Jakuba Żulczyka, *Miłość* Ignacego Karpowicza, *Jasność* Mai Wolny, *Polska 2.0* Jacka Inglota, *Plankton* Mariusza Sieniewicza...

...Ale z naszymi umarłymi Jacka Dehnela, *Ludzie dobrej woli* Krystiana Nowaka, *Prymityw* Marcina Kołodziejczyka, *Przedwojnie* Łukasza Hassliebe (czyli ukrywającego się pod kolejnym pseudonimem blogera Galopującego Majora), niezamknięty jeszcze cykl komiksowy Odii i Stefańca (który jest właściwie polską wersją *Opowieści podręcznej*), *Potop* Salci Hałas, *Słowy dym* Ziemowita Szczerka...

W przypadku Szczerka należy chyba stwierdzić, że pisze on o zmierzaniu Europy Środkowo-Wschodniej ku politycznej katastrofie już od *Siódemki*, czyli powieści z roku 2014. Książki, które wymieniliśmy, mówią nie tylko o źle skonstruowanym prawie, lecz również o źle skonstruowanym państwie.

W powieściach tych odbijają się echem zaniechania lat 90. i wyłączone poza zasięg demokracji kwestie, które wymieniał. Relacje władzy z Kościołem będą istotne dla Żulczyka, Sieniewicza czy Inglota. Miejsce kobiety w społeczeństwie to ważna kwestia u Hałas i Żulczyka, ale też po części u Karpowicza, a kondycja ciała kobiecego napędza komiks Odii i Stefańca. Własność prywatna przekłada się na relacje klasowe – które wybijają w większości fabuły; najczęściej dlatego, że pisarki i pisarze przedstawiają tych, którzy znajdują się na dole społeczeństwa, a zatem których kryzys w rozmaity sposób dotyka najszybciej. Właściwie zanim nastąpi rozpad całości, oni już muszą radzić sobie w warunkach katastrofy.

Jeśli utworzymy z tych książek skondensowany wielotekst, zobaczymy wszystkie grzechy założycielskie: nieformalna władza nad odmieńcami seksualnymi i nad kobiecym ciałem wręczona społeczeństwu, niekontrolowana pozycja kościoła, kapitał na granicy prawa – wszystko to wpływa niszcząco na państwo, ponieważ blokuje zmiany kulturowe, polityczne i gospodarcze.

Prawicowo-nacjonalistyczny pakt władzy ze społeczeństwem opiera się przecież na propagandowym hasle, że Polacy to dumny naród. Tylko że duma okazuje się pułapką, bo narodu mającego prawo do dumy z tytułu bycia narodem nie można zmobilizować do rozwoju. Nie można takiego narodu nakłonić do nauki języków obcych, do podnoszenia kompetencji, do zmiany obyczajów. Taki naród można tylko utwierdzać w przekonaniu, że jest wspaniały taki, jaki jest. To dlatego prawica fiksuje na punkcie Zagłady, przemocy domowej czy gospodarki węglowej. Każdy z tych problemów skrywa w sobie potencję zmiany, a zmiana prowadziłaby do naruszenia narodowego status quo – do uszczuplenia narodowej i heteroseksualnej przemocy nad „Polakami drugiego sortu” i nad odmieńcami. Ta przemoc, zagnieżdżona w obyczaju i tolerowana przez prawo, jest resztką społecznej podmiotowości. Narodowo-religijno-plciowa tożsamość zbiorowa gwarantuje „polskiej normalności” udział w szacunku i we władzy. Dlatego nasze państwo jest w tej chwili zakładnikiem umowy nacjonalistycznej. A za sprawą tej umowy zmierza ku katastrofie.

Ostatnim elementem, który łączy większość tych książek, jest stan wyjątkowy. W podwójnym sensie – bo „stan wyjątkowy” jest tu już nie tylko silnie narzucającą się ramą interpretacyjną (którą z powodzeniem mogliśmy stosować do czytania innych, wcześniejszych powieści), ale także istotnym wydarzeniem fabularnym: zostaje wprowadzony w *Przedwojniu*, *Planktonie* czy w *Ale z naszymi umarłymi*, gdzie stanowi dowód, że „państwo zareagowało zaskakująco sprawnie”; sięgając poza literaturę polską – rozpoczyna się nim powieść *Wyspa* Sigríður Hagalín Björnsdóttir; bardzo znacząco wydarza się on w serialach, takich jak *1983* czy *Rok za rokiem*.

Wydaje mi się, że literatura uczyła nas na nową formację ustrojową, którą nazwałbym „demokracją stanu wyjątkowego”. Różnica pomiędzy nią a stanem wyjątkowym polega na tym, że w ramach demokratycznego państwa prawa stan wyjątkowy jest przewidziany przez konstytucję jako sytuacja, w której rządzących nadal obowiązują określone reguły. Na przykład: w czasie stanu wyjątkowego nie można wprowadzić zmian w konstytucji ani przeprowadzić wyborów. Co więcej: rządzący wiedzą, że po zakończeniu stanu wyjątkowego zostaną rozliczeni z ewentualnych naruszeń przepisów. Literatura mówi chyba o czymś innym – o wprowadzaniu reguł stanu wyjątkowego bez uruchamiania procedury prawnej z tym związanej. Najpierw rządzący zacierają granicę pomiędzy trzema władzami, czyli koncentrują władzę w jednym ręku, a potem zaczynają manipulować definicją praw obywatelskich. Znaczące wydaje mi się,

że w przywołanej przez siebie islandzkiej powieści *Wyspa* stan wyjątkowy nie zostaje wprowadzony. Podobnie jak – przeskakujemy od literatury do rzeczywistości – nie został on wprowadzony w Polsce po ogłoszeniu stanu epidemii.

Wedle mojej pamięci jest odwrotnie: w *Wyspie* ogłoszenie projektu ustawy o wprowadzeniu stanu wyjątkowego jest jedną z pierwszych decyzji zakomunikowanych obywatelom przez minister spraw wewnętrznych.

Dla rozstrzygnięcia rozbieżności będziemy musieli pewnie zajrzeć do samej powieści. Ale jeśli okaże się, że jest tak, jak pamiętasz, to mielibyśmy do czynienia z bardzo dziwnym tworem: po pierwsze, jest to stan wyjątkowy bez swojego regulaminu; po drugie – posługuje się referendum. To pierwsze jest niebezpieczne dla obywateli, bo zamiast zastrzeżonego rygoru mamy przemoc wylewającą się na ulice. To drugie, czyli referendum, jest dla stanu wyjątkowego nie tylko niepotrzebne, ale wręcz kontrproduktywne. Bo przecież społeczeństwo może w referendum powiedzieć „Nie”. Dlatego rząd w powieści Björnsdóttir manipuluje pytaniami. W rezultacie powstaje hybrydowy ustrój: władza posługuje się prerogatywami stanu wyjątkowego, chociaż go nie wprowadza, zarazem zabiegając o legitymizację demokratyczną, którą podtrzymuje dzięki urządzaniu referendów. Najważniejszy przywilej w takiej hybrydzie ustrojowej polega nie na posiadaniu głosu, ale na zarządzaniu głosowaniem. Czyli władza manipuluje definicją praw obywatelskich i definicją demokracji. To właśnie nazwać można „demokracją stanu wyjątkowego”. To nowa, niejasna i rozwojowa formacja polityczna.

Czym się ona charakteryzuje?

Wykorzystywaniem obowiązującego prawa do osłabienia istniejących praw, zwłaszcza w zakresie zobowiązań państwa wobec obywateli – zobowiązań o charakterze socjalnym, rozjemczym, obronnym. W tym sensie demokracja stanu wyjątkowego jest dalszym ciągiem osłabiania funkcji państwa rozpoczętego w latach 90. Państwo stopniowo wycofywało się wówczas ze swoich funkcji opiekuńczych i mediacyjnych, przekazując je obywatelom. Było to szczególnie bolesne w zakresie praw socjalnych: państwo rezygnowało z zapewniania pracy i mieszkań, a opieką zdrowotną i edukacją chętnie dzieliło się z sektorem prywatnym. Tak powstawał liberalizm dla silniejszych i uprzywilejowanych. Dzisiejsza kontynuacja tamtej deregulacji państwa polega na tym, że na naszych skórkach pisze się nowa wersja *Lewiatana*. U Hobbesa, jak pamiętamy, każdy obywatel przekraczający mury miasta musiał oddać broń. Państwo stawało się jedynym legalnym dysponentem

środków przymusu, oferując w zamian obywatelom bezpieczeństwo. Dzisiejsza modyfikacja polega na tym, że państwo jest w stanie zaoferować bezpieczeństwo coraz mniej licznym obywatelom w coraz węższym zakresie. Dlatego testuje warianty redukcji liczby obywateli. Czyli sprawdza możliwości pozbawiania praw obywatelskich – na pedofilach, terrorystach, rezydentach. Aby tego dokonać, musi wznieść w pozostałych obywatelach strach i nienawiść. Do tego zaś potrzebna jest afektywna więź społeczna. Tutaj mści się na nas faza druga: w latach 90. demontowano wszelkie podmioty zbiorowe – przede wszystkim klasy społeczne – więc jednostka traciła oparcie w zbiorowości. Dzisiejsze państwo wspiera regenerację dynego podmiotu zbiorowego, który nie występuje przeciw kapitalizmowi i kościółowi. To wspólnota nacjonalistyczno-religijna. Dla regeneracji konieczne jest powołanie wroga, który wspólnie zagraża. Trzeba go ulepić ze zbiorowych lęków. Wspólny wróg – muzułmanin, przedstawiciel LGBT – ma zmobilizować społeczeństwo i skonsolidować je wokół sprawy rzekomo fundamentalnej. Ale w polskich sprawach fundamentalnych nie ma spraw prawdziwie fundamentalnych, bo te zostały wyjęte spod demokratycznej debaty w latach 1989-1993. A zatem wspólny wróg musi kierować ku sprawom kompletnie nieistotnym z punktu widzenia rzeczywistych problemów społecznych. Na tym oparta jest samonapędzająca się fikcja społeczna: im mniej problemów możemy rozwiązać poprzez ustanowienie obszarów wolnych od LGBT, tym więcej takich obszarów powstanie. Faktyczne kłopoty dzisiejszej Polski to zmiany klimatyczne, kryzys demograficzny, podupadająca edukacja publiczna, niskie emerytury, transport publiczny, opieka zdrowotna... Można stawić im czoła w przypadku zmiany warunków wyjściowych. Ale ich niezmiennosc gwarantuje władzę prawnicy nacjonalistycznej. Koło się zamyka.

Co ciekawe, refleksje te formułuję raczej na podstawie powieści niż reportaży. Reportaż jest skuteczniejszy w interwencji prawniczej, fikcja natomiast – dzięki przywilejowi niesystemowości – pokazuje nam quasi-ustrojową możliwość ukrytą w dzisiejszej rzeczywistości. Z książek wynika, że demokracji nie zagraża stan wyjątkowy – on jest raczej gwarancją dawaną nam przez reguły państwa prawa. Zagraża nam zatarcie granicy pomiędzy demokracją a stanem wyjątkowym; a warunkiem zatarcia owej granicy jest niewprowadzanie stanu wyjątkowego.

Wchodzimy na ciekawy, choć potencjalnie niebezpieczny teren – możemy tu zastanawiać się, przy użyciu jakich narzędzi i jakich narracji można doprowadzić do upadku państwa prawa. Niedawno czytałam rozmowę Jana Sowy z Moniką Płatek. Wskazuje ona na konkretną

ustawę – o postępowaniu wobec osób z zaburzeniami psychicznymi z 2013 roku, zgłoszoną przez Jarosława Gowina – jako papierek lakmusowy, który sprawdzał, jakim sposobem da się przekonać instytucje władzy oraz społeczeństwo do tego, by przestać respektować reguły konstytucyjne; innymi słowy: jak bezkarnie pogwałcić reguły państwa prawa. Tamta ustawa przeszła kolejno przez sejm, senat, podpis prezydenta, Trybunał Konstytucyjny – według Płatek minister Gowin przetarł wówczas szlak do zmiany standardów demokracji i sprawiedliwości społecznej. Bo wiadomo – jak raz się udało, to uda się i w kolejnych przypadkach. Przypomina to sytuację rozgrywania fabuły z nieznanym końcem – fabuły, w której nie tyle o fabułę i jej finał chodzi, ile o odsłonięcie mechanizmów nią rządzących, schematów i rozwiązań narracyjnych. Niejako analogicznie możemy szukać innych opowieści, w ramach których mechanizmy legitymizacji dla ograniczania działania państwa – lub wręcz jego łamania przez instytucje państwa – zostają przetestowane. Zapewne byłby to cały narracyjny arsenał, który przychodzi nam do głowy: kierowanie gniewu i chęci odwetu na wroga – raczej fantomowego niż realnego; rozbudzanie resentymentów; inżynieria afektywna – która gra dialektyką poczucia dumy i wstydu, ale także lękiem...

Zwłaszcza lękiem. Przypuszczalnie każda forma lęku jest w stanie doprowadzić do wynegocjowania ze społeczeństwem odstępstw od reguł państwa prawa. Każdy lęk – przed uchodźcami, przed LGBT, przed innowiercami, przed wirusem – może zapewnić rządzącym przynajmniej gotowość oddania części praw w zamian za bezpieczeństwo. Właściwie sporo z fabuł, o których mówiliśmy – Ingłota, Sieniewicza, Żulczyka, po części Karpowicza – zaczyna się od wzbudzania lęku w powieściowym społeczeństwie. Tylko tu niczego nowego nie wymyślamy... Już Witkacy powiedział, że w wieku XX społeczeństwo będzie wybierać między bezpieczeństwem i wolnością; a im bardziej będzie się bało, tym chętniej odda część wolności w zamian za bezpieczeństwo. Z tym że u Witkacego brzmiało to jak wynik konfrontacji masy z władzą totalną. Sto lat później demokracja próbuje polknąć totalitaryzm – próbuje wchłonąć jego nieograniczoną władzę, jednocześnie zachowując pozory demokracji. Sprzyja temu dyskurs zbiorowej traumy: druga wojna, komunizm, transformacja ustrojowa służą do zbudowania tożsamości zbiorowej na traumie. Pamięć o zranieniu przeszłym latwo przetworzyć w lęk przed raną przyszłą. A w ramach tego przekładu kwestie proste – praca, płaca, emerytura, mieszkanie, zdrowie – znikają. W ich miejsce wchodzi lęk przed imigrantem, muzułmaninem czy LGBT.

Często mówi się, że każdy populistyczny lęk to przeniesiony w sferę zastępczą lęk przed pogorszeniem warunków bytowych.

Przemiany lat 90., a potem globalny kryzys ekonomiczny 2008 roku przekonały o tym, że podstawową właściwością współczesnego życia jest niepewność. Przed niepewnością odczuwamy strach. Maestria dzisiejszych systemów propagandowych polega na tym, że nie odwołują się do rzeczywistych fundamentów owego strachu, tylko do samego strachu i przekształcają go w lęk. Różnica między strachem a lękiem – znów nieco mechanicznie ustalana – polegałaby na tym, że lęk jest irracjonalny, natomiast strach płynie z konkretnego źródła. A że wielu członków społeczeństwa doświadczyło realnego strachu – z powodu utraty mieszkania, pracy, opieki medycznej, miejsca w społeczeństwie, wypłucia poza system zabezpieczeń socjalnych i system społecznego uznania – łatwo dziś to wykorzystać, by wywołać irracjonalny lęk. Nie zwraca nas on przeciw podstawom systemu kapitalistycznego, tylko przekierowuje emocje społeczne ku fantazmatom. I choć mechanizm ten nie jest nowy, to ilekroć powraca, mam wrażenie, że pojawia się w celu, o którym mówisz: wypróbowania narracji; sprawdzenia, czy to się uda. Czy uda się, nastraszywszy odpowiednio społeczeństwo, zaproponować rezygnację z części praw obywatelskich? Czy zadziała, jeśli powiemy: ochronimy was przed LGBT, ale aby to zrobić, musicie zrezygnować ze swoich wolności, na przykład tych związanych z nietykalnością cielesną lub tajemnicą korespondencji. I literatura intuicyjnie chwytą to, co jest źródłem owej łatwości, z jaką można wywołać w dzisiejszym społeczeństwie lęk. A są to owe nieprzegadane sprawy początkowych lat polskiej demokracji.

W tym miejscu wracamy do kwestii, na którą niegdyś już wskazywałeś: postawiłeś hipotezę, że jednym z grzechów założycielskich III RP było rozdzielenie wolności na dwie grupy praw – praw obywatelskich i praw socjalnych. Problem polegać miałby na tym, że społeczeństwu powiedziano, iż są one od siebie zależne w tym sensie, że stoją naprzeciw siebie. Czyli że można mieć albo jedno, albo drugie.

W owym momencie założycielskim nie dano nawet alternatywy. Po prostu orzeczono, że społeczeństwo potrzebuje raczej praw obywatelskich niż socjalnych. Prawa obywatelskie dotyczą sfery wolności osobistej i politycznej, sfery kulturowej i sfery ekonomicznej. Nieco upraszczając, można powiedzieć, że nieliczne socjalne elementy praw obywatelskich – zwłaszcza prawo do opieki zdrowotnej i do nauki – stopniowo przenoszono do stricte socjalnych. A prawa socjalne uznano za przedmiot

negocjacji rynkowej. A zatem prawo pracy, ubezpieczenia społeczne, opieka społeczna i medyczna, ochrona prawa do mieszkania zostały scedowane na obywatela. W zakresie tych spraw obywatel ma tyle, ile zdoła wywalczyć, nie zaś tyle, ile gwarantuje mu prawo. Tak wyglądała sytuacja do roku 2015. PiS po dojściu do władzy odwróciło te relacje, mówiąc: zdecydowana większość z was została poturbowana, strauumatyzowana i pokrzywdzona przez etap dominacji praw wolnościowych, teraz więc pora zwrócić wam prawa socjalne. Cały przyznany pakiet – 500+, podwyżka emerytur, ustalenie minimalnej stawki godzinowej i płacy minimalnej – był oczywiście bardzo potrzebny. Ale nie jest to rzeczywisty proces zmierzający do włączenia praw socjalnych w obręb praw obywatelskich. A o tym teraz rozmawiamy. I takiej fabuły nie spotkałem...

Spotkałem natomiast fabuły, które mówią o skutkach rozłączenia tych dwóch rzeczy i pomniejszenia znaczenia praw socjalnych. Cała polska szkoła reportażu przełomu XX i XXI wieku rodzi się z dostrzeżenia zróżnicowanych światów społecznych, które powstały w ramach jednego państwa za sprawą transformacji ustrojowej. Zróżnicowanych, a więc odrębnych, wyosobnionych, niepodlegających w ten sam sposób i w tym samym stopniu kontroli prawnej. Tego rodzaju fabuły ostrzegawcze nadal powstają; utopii zaś, która mówiłaby o tym, że należy włączyć prawa socjalne do praw obywatelskich, nie spotkałem. Dzisiejsze utopie nie są jednak tak naprawdę utopiami; nie projektują całościowego porządku społecznego. Są odkrywcze wtedy, gdy opowiadają o buncie przeciw niesprawiedliwości i o klęsce w imię przyszłego ładu.

Ze współczesną kondycją utopii kojarzy mi się, nieco na prawach anegdoty, specyficzna retoryka, która po 2015 roku pojawiła się w medialnych hasłach partii opozycyjnych – zarówno w Polsce, jak i poza jej granicami. W odpowiedzi na propozycje ustaw czy rozwiązań rządowych politycy opozycji odpowiadali: „*Rok 1984* to antyutopia, a nie instrukcja obsługi”; „*Opowieść podręcznej* to dystopia, a nie program polityczny”. Mam te hasła w pamięci, bo jest w nich coś przewrotnie groźnego. Wydawać by się mogło, że powinniśmy cieszyć się z pewnego dowartościowania literatury w dyskursie publicznym. Ale w tego typu hasłach faktycznie manifestuje się złudzenie względem literatury: że konkretne dzieła dostarczają nam dokładnych instrukcji obsługi czy przetrwania. Na reversem umieściabym uwagę, że dopóki pozostawać będziemy przy takiej ufności w „realizowalność” literackich dystopii czy sprawczość utopii, dopóty trwać będziemy w paraliżu innej wyobraźni – tej społecznej, politycznej, prawnej.

Nie przegadamy tak potężnego zagadnienia w jeden dzień... Spróbujmy połowicznie. Dlaczego w przypadku fabuł, takich jak *Opowieść podręcznej*, należy upierać się, że są to dystopie? Dlatego, że mówią one: załątek groźnego porządku polityczno-ekonomicznego tkwi w naszej codzienności. Ostrzeżenie nie ogranicza się do wskazania dzisiejszej skrajnej prawicy jako fundamentu przyszłego rządu, który zafunduje nam demokrację stanu wyjątkowego, kobiety zredukuje do ciała rozplodowego, a obcokrajowców umieści w obozach koncentracyjnych. Wartość *Opowieści podręcznej* polega na tym, że odsłania nasz współdział w przygotowywaniu przyszłej katastrofy. Nie ma większego sensu interpretowanie powieści Atwood wyłącznie jako dystopii wymierzonej w kapitalistyczny patriarchy; sens ma zwrócenie uwagi

na to, jak bardzo została zaniedbana cała sfera obywatelska przez powieściowe społeczeństwo wtedy, gdy miało ono jeszcze pełnię swoich praw. Do czego były jemu owe prawa potrzebne? Do tego, żeby być osobno.

Traktowanie demokracji liberalnej jako prawa do bycia osobnym to najniebezpieczniejsza siła wspomagająca rozwój przyszłościowych porządków zawłaszczających prawa obywatelskie. Niekulturowanie sfery wspólnej jest stopniowym oddawaniem pola ludziom, którzy mówią: istnieje tylko jedna więź – religijna; istnieje tylko jedna tożsamość – narodowa. Im mocniej upieramy się przy wolności negatywnej – mówiąc: demokracja liberalna jest mi potrzebna po to, żeby nikt się nie wtrącał do mojego życia – tym pilniej przygotowujemy nadejście demokracji stanu wyjątkowego.

Rozmawialiśmy 10 sierpnia 2020 roku. Tuż po zakończeniu rozmowy wspólnie poszliśmy na dwie demonstracje: „Poznań broni tęczy” – wyrażającą sprzeciw wobec nagonki na osoby LGBT+ i wsparcie dla nich, oraz „Свабоду Беларусі! // Wolność dla Białorusi” – wyrażającą solidarność z prodemokratycznymi protestami w Białorusi.